

PAUza

Akademicka

ISSN 1689-488X



Rok XI

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności
pauza.krakow.pl

Nr 454 Kraków, 17 stycznia 2019
pau.krakow.pl

Redakcja PAUzy Akademickiej składa hołd
Prezydentowi Gdańska
Pawłowi Adamowiczowi



Fot. Renata Dąbrowska / Agencja Gazeta

Stała się rzecz straszna. Słów brak. Pozostaje modlitwa.
Za Prezydenta Adamowicza. Za Polskę.



Partnerem czasopisma jest Miasto Kraków

Koniec współpracy humanistów z Europą Środkowo-Wschodnią?

Manifestacyjnie propagowaną w nowej ustawie o nauce (i we wszelkich „reformach” szkolnictwa wyższego i nauki od lat) tendencją rozwojową jest tzw. umiędzynarodowienie nauki polskiej. To postulat słuszny. Szkoda, że przybiera on w praktyce utopistyczny, wprost szkodliwy kształt. Umiędzynarodowienie – gdy przełożyć je na rozporządzenia, dyrektywy – oznacza bowiem współpracę *de facto* z czterema rodzajami podmiotów naukowych: tymi z Europy Zachodniej [pozaunijnej], Unii Europejskiej, Stanów Zjednoczonych i Kanady oraz wysoko cywilizacyjnie rozwiniętych krajów świata (Japonia, Korea; czy też Chiny i Tajwan, nie byłbym pewien).

Jest to podejście oderwane od elementarnych, rudymen-tarnych podstaw istnienia państwa i wspólnoty obywateli, tworzących to państwo, w tym naukowców. W tym mitycznym myśleniu „Zachód” oznacza wszystko to, co najlepsze w nauce: poziom badań, standardy etyczne, skalę umiędzynarodowienia itp. Być może tak jest najczęściej w naukach ścisłych, lecz w obszarze humanistyki i nauk społecznych sprawa jest co najmniej dyskusyjna. Piszę to jako wieloletni praktyk współpracy międzynarodowej w nauce, kierujący specjalnie powołaną w 2011 roku w tym celu Katedrą Badań Filologicznych „Wschód – Zachód” (UwB). Co gorsza, ta wizja „umiędzynarodowienia” ignoruje fundamentalne czynniki kształtujące los wszystkich obszarów i dyscyplin badań w Polsce: otóż ignoruje nasze miejsce na mapie! A realna Rzeczpospolita leży na mapie między Zachodem (Unią Europejską) a Europą Środkowo-Wschodnią: Ukrainą, Białorusią, krajami bałtyckimi, Mołdową i w końcu Rosją. Nasz kraj nie jest, jak wydawać by się mogło, cywilizacyjną wyspą u wybrzeży atlantyckich Europy, lecz leży wciśnięty między dynamicznie zmieniającą się Zachód a niespokojny Wschód: na Ukrainie trwa wojna, Rosja przekształca się w kierunku państwa autorytarnego już nawet bez pozorów demokracji, waży się los państwowości białoruskiej, której grozi inkorporacja do Federacji Rosyjskiej, wszystkie państwa bałtyckie czują się bezpośrednio zagrożone, Mołdowa dryfuje między Rosją a UE. A jest jeszcze niedaleko od polskich granic położone Naddniestrze – baza rosyjska, obszar niespokojny, zapóźniony cywilizacyjnie. Dobrze, gdyby twórcy reformatorskich ustaw uświadomiali sobie, że Rzeczpospolita ma na tym obszarze zasadnicze, strategiczne interesy społeczne, polityczne, geopolityczne – i naukowe. Tymczasem kształt proponowanych rozporządzeń praktycznie likwiduje współpracę ze Wschodem:

– Publikacje w rosyjskich, białoruskich, ukraińskich i innych wschodnioeuropejskich pismach naukowych z zakresu humanistyki praktycznie nie będą „punktowane”, o ile nie trafią do czasopism z bazy Scopus. Problem w tym, że w krajach tych – też, jak Ukraina czy Bułgaria, przeprowadzających „scopusoizację” dorobku naukowego – takich pism nie ma! Ilu badaczy ze wschodniej Europy spełni zaś standardy pism polskich z tej bazy?

– Podstawową formą współpracy z humanistami z Białorusi czy Ukrainy były do tej pory wspólne konferencje naukowe i publikowane po nich monografie zbiorowe. I ta działalność w świetle „Ustawy 2.0” nie będzie doceniona. Jeśli ma być ona dowartościowana przez ocenę ekspercką jako tzw. „wpływ społeczny”, to wątpię, by konferencje w Kijowie, Odessie, Wilnie, Grodnie czy Mińsku znalazły odpowiednie uznanie ekspertów znających tylko współpracę z Zachodem jako mierniki wartości badań humanistycznych. Na Białorusi, Ukrainie, a nawet „unijnej” Litwie, nie można, ot tak, po prostu dłatego, że się chce, organizować długotrwałej i owocnej współpracy w zakresie humanistyki. Trzeba znać realia i być akceptowanym w tamtejszych środowiskach. Takie są tam społeczne i polityczne warunki uprawiania nauki...

– Idźmy dalej: we wszystkich tych krajach mieszka liczna mniejszość polska (z kolei RP ma na swoim terytorium mniejszości białoruskie, ukraińskie itd.); część elit naukowych na tym terenie ma polskie pochodzenie, część

nie ma, lecz większość chce współpracować naukowo z Polską. Polscy humaniści od ćwierćwiecza obsługują olimpiady języka i literatury polskiej w tych krajach, prowadzą rekrutację na studia w Polsce. Język polski jest dziś z wielu powodów najpowszechniej nauczany językiem obcym na przykład na Ukrainie. Przede wszystkim badacze zabezpieczają dziedzictwo polskie (często wspólne: polsko-litewskie, polsko-ukraińskie) na dawnych ziemiach wschodnich RP: od zabytków po rękopisy.

Wydajemy w Polsce krytycznie (w ramach najsurowiej ocenianych grantów, np. NPRH) dzieła polskich pisarzy i myślicieli z tego pogranicznego obszaru (często z rękopisów i pierwodruków). Organizujemy na tak wymagającym terenie sesje, na przykład: o Orzeszkowej i Mickiewiczu (Grodno, Mińsk), emigracji polskiej i ukraińskiej, pisarzach ukraińskiej szkoły w romantyzmie polskim (Kijów, Żytomierz), o Polakach i mniejszościach (Odessa), folklorze litewsko-polskim i pisarzach dwu- i wielojęzycznych (Wilno) itd.

Czy ktoś z projektodawców nowych przepisów pomyślał o tej strategicznej dla państwa i kultury współpracy (wspieranej zresztą stale przez MSZ!)? Otóż nie. Ekspertki ocenią te działania jako społeczny „wpływ lokalny”. Za edycje teksów zdobytych na wschodzie zaplanowano (tak było jeszcze kilka tygodni temu!) 20 punktów (a nie 80, jak za monografię). W tym ostatnim przypadku skala, delikatnie mówiąc, niefrasobliwości jest niewyobrażalna. Jak zostaną docenieni badacze prowadzący olimpiady języka i literatury na tym terenie? Dodam jeszcze, że sprawa współpracy międzynarodowej na tym obszarze ma wymiar polityczny i geopolityczny: w odniesieniu do mniejszości obowiązują zasady wzajemności. Na tym terenie trwa też rywalizacja Zachodu, Ameryki i Federacji Rosyjskiej, której skutków (pomińmy je milczeniem) wszyscy pracujący na tym terenie doświadczają.

Dowiadujemy się oto, że nowa ustawa nie tylko nie premiuje współpracy naukowej z tym obszarem, lecz ją niemal likwiduje. Trudno! Badacze pracujący na Wschodzie od lat współpracują też z Zachodem, żywo interesującym się wszystkim, co leży na wschód od Polski. Tylko czy o to chodzi, by polscy humaniści zostali wyeliminowani z Europy Środkowo-Wschodniej? Spójrzmy na mapę.

– Ostatnia kwestia: trudno mówić o stałej, planowej współpracy z instytucjami naukowymi państwa rosyjskiego. Tu wpływ czynników politycznych, pozamerytorycznych jest obojętniający, paraliżujący. Ale należy zachować współpracę, kontakt z tymi naukowcami z Rosji, którzy chcą i mogą ją prowadzić. Trzeba też, by Polska była krajem nie tylko posiadającym czasopisma z „magicznej” bazy Scopus, gdzie raz w roku jeden czy dwóch badaczy ze Wschodu opublikują artykuły, lecz by elity z tych krajów mogły bez tyranii punktów prezentować swą kulturę, naukę, życie społeczne Polakom. Byśmy mogli wspólnie wydawać książki nie w Londynie, lecz w Grodnie, Kijowie, Kownie, Lwowie, Warszawie, Białymstoku, Krakowie, Lublinie.

Badacze z Zachodu i Ameryki nie interesują „papierowe” analizy pisane w oderwaniu od rzeczywistości. Sławistów i polonistów zachodnich, ale też azjatyckich (Korea Płd. i Japonia są dziś ważnymi ośrodkami polonistycznymi), interesuje to, co dzieje się na miejscu: kultura, historia postrzegana oczyma ludzi tam żyjących, przemiany społeczne Europy Środkowo-Wschodniej.

Pomysł umiędzynarodowienia nauk humanistycznych i społecznych, polegający na imitacji Zachodu, postrzegam jako propozycję oddania innym tych obszarów badawczych, takich jak Europa Środkowo-Wschodnia, w których mamy wiele do powiedzenia, mamy kontakty i doświadczenia.

Proponuję, by ktoś z twórców tych rozporządzeń pojechał na Wschód i zechciał wydać (za ileś punktów...) jakies ważne dla naszej literatury lub historii dzieło spoczywające w tamtejszych archiwach. Zastanawiam się, co by powiedział po powrocie...?

JAROSŁAW ŁAWSKI

Katedra Badań Filologicznych „Wschód – Zachód” UwB

Uczelnie z charakterem

Niektóre z państwowych wyższych szkół zawodowych (PWSZ) istnieją już ponad 20 lat, można więc przyjąć, że okrzepły i wpisały się na dobre w system kształcenia na poziomie wyższym w naszym kraju. Obecne zmiany prawa o szkolnictwie wyższym uwzględniają istnienie tych uczelni, wydaje się nawet, że intencją ustawodawcy jest zaakcentowanie ich specyfiki, owego „charakteru” zapisanego w tytule niniejszego tekstu.

Ponieważ prawie wszystkie PWSZ działają w mniejszych ośrodkach, pozbawionych wcześniej szkół wyższych, wiedza pracowników uczelni akademickich na temat tych „prowincjonalnych” szkół bywa z konieczności ograniczona, opiera się na zasłyszanych opiniach, a czasem nieporozumieniach. Wiele z nich miało wprawdzie doświadczenie pracy w PWSZ na drugim (trzecim lub kolejnym...) etapie, ale skuteczna walka władz resortu i uczelni akademickich z wieloletowością każe niektórym z nich wypierać z pamięci ten epizod, nawet jeśli odnosili w PWSZ znaczące sukcesy dydaktyczne i organizacyjne.

Kilka poniższych uwag formułuję jako były pracownik Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej im. Stanisława Pigoń w Krośnie, zatrudniony w niej od samego początku, jej prorektor, a potem przez dwie kadencje rektor, pracujący jednocześnie na Uniwersytecie Jagiellońskim i starający się uczciwie wypełniać obowiązki na obu uczelniach.

Działalność wyższych uczelni zawodowych regulowała ustawa z 26 czerwca 1997 r., wprowadzająca kilka przepisów wówczas nowych, dziś w większości przyjętych w całym systemie: stanowisko kanclerza jako kierującego administracją i gospodarką uczelni (ileż nasłuchaliśmy się wówczas żartów na temat tego tytułu!), oprócz senatu także konwent jako organ kolegialny, czteroletnią kadencję rektora i innych organów uczelni, a przede wszystkim mechanizm akredytacji przez powołaną ustawowo (prawie pięć lat przed PKA!) Komisję Akredytacyjną Wyższego Szkolnictwa Zawodowego. Dwa lata przed uchwaleniem Deklaracji Bolońskiej ustawa decydowała o prowadzeniu w PWSZ studiów licencjackich i inżynierskich (dziś: I stopnia) jako podstawowego trybu kształcenia. Co więcej: przyjęto, że na tych uczelniach będzie się prowadzić specjalności, a nie kierunki, co dawało dużą swobodę w dostosowaniu się do lokalnych potrzeb. Pod tym względem PWSZ miały przypominać niemieckie *Fachhochschule*: stawały na kształcenie na potrzeby rynku pracy, przejście na studia akademickie rezerwując tylko dla najwybitniejszych absolwentów. Późniejsze obligatoryjne przypisywanie specjalności do kierunków, a od 2005 r. – pod rządami jednolitej ustawy – wręcz zrównanie szkół wyższych pod tym względem (włącznie z takimi samymi dla wszystkich minimami kadrowymi) zmieniło ten stan, co wielu ocenia z perspektywy czasu jako niefortunne.

Tworzeniem wyższych szkół zawodowych kierowała chęć zrównania szans edukacyjnych i upowszechnienia wyższych studiów wśród tych, dla których szkoły akademickie były niedostępne, często niestety z powodów wy-

łącznie finansowych. Pod tym względem można mówić o sukcesie: bezpłatne studia „na miejscu” niewątpliwie były szansą dla wielu młodych ludzi. Trzeba też powiedzieć wyraźnie, że państwowe uczelnie bywały konkurencją dla szkół niepublicznych, których znaczna część działała w „Polsce powiatowej”. Oczywiście, niektóre z nich były uczelniami z prawdziwego zdarzenia, ale przecież tylko niektóre: wśród kilkuset istniejących nie brakowało takich, które kształciły w wynajmowanych na weekendy szkołach lub kinach, a bibliotekę czy infrastrukturę sportową i kulturalną posiadały wirtualnie. Dość powszechne w środowiskach akademickich utożsamianie PWSZ z uczelniami niepublicznymi opiera się na nieporozumieniu: uczelnie założone przez państwo nie są nastawione na zysk, ich student spotyka się raczej z urzędnikiem działu nauczania niż kasjerem, a większość PWSZ to znaczący inwestorzy, zdobywający fundusze zarówno na cele budowlane, jak i na projekty „miękkie”, służące pośrednio i bezpośrednio społeczności lokalnej. Takie nastawienie obserwowałem u większości znanych mi rektorów PWSZ, dla których kierowanie uczelnią było misją i sposobem realizowania swych predyspozycji menedżerskich (wiele z nich zresztą miało doświadczenie w tym zakresie zdobyte na uczelniach akademickich).

Wśród przyjętych opinii na temat PWSZ jest i taka, że obniżają one poziom kształcenia wyższego. Jest jasne, że nie wszędzie udawało się w nich osiągnąć poziom Oksfordu czy UJ. Jest jednak również oczywiste, że wzrost tzw. skolaryzacji na poziomie wyższym nie mógł się odbyć bez szkody: studia przestały być elitarne, a to oznacza dopuszczenie do nich także osób o przeciętnych zdolnościach. Ale tu warto spytać: czy tylko owe „prowincjonalne” szkoły wyższe mają znaczący udział w tym procesie? Czy rektorzy renomowanych uniwersytetów nie przyjmowali dotychczas zbyt wielu studentów na studia I stopnia, skuszeni dotacją dydaktyczną? Piszący te słowa, pracujący przez lata na dwóch uczelniach, nauczył się jednego: jeśli zdefiniować sukces dydaktyczny jako różnicę między stanem początkowym a końcowym, to kto wie, czy nie był on większy na uczelni, do której nie przyjmowano samych laureatów olimpiad czy absolwentów renomowanych liceów...

Często zdarza się słyszeć lekceważące opinie na temat uczelni wyższych, w których prowadzenie badań naukowych nie jest statutowym obowiązkiem. Istotnie, w PWSZ wszyscy pracownicy, włącznie z profesorami, bywali zatrudniani na stanowiskach dydaktycznych, a prace badawcze podejmowali tylko niektórzy, głównie młodszy asystenci i wykładowcy. Przekonanie, że tylko badacz z własnymi osiągnięciami może z powodzeniem kształcić studentów, jest mocno ugruntowane i niepozbowione racji. Warto jednak wziąć pod uwagę, że system kształcenia wyższego może mieć też segment zawodowy i na tym polega jego różnorodność. Obok świątyń wiedzy, z ich laboratoriami badawczymi, powinny w nim istnieć takie szkoły, w których nowoczesne laboratoria służą kształtowaniu umiejętności.

Przypominamy tekst sprzed lat, który znowu nabiera aktualności. REDAKCJA

zaPAU

Autorytet „belfra”

Zawód nauczyciela bywa zawodem pięknym, sprawiającym dużo satysfakcji ludziom z powołaniem i talentem. Chcielibyśmy oczywiście, aby wszyscy nauczyciele (a przynajmniej nauczyciele naszych dzieci) posiadali te dwa przymioty. To – niestety – niemożliwe. Nauczyciele są różni. Jak w każdym zawodzie – bywają lepsi i gorsi.

Ocenić pracę nauczyciela jest zresztą bardzo trudno, bo jej wyniki widać dopiero po latach i trzeba wystrzegać się pochopnych sądów. Nic nie może jednak podważyć faktu, że jest to po prostu praca niezwykle ciężka. Wiem coś o tym, bo sam uczyłem przez jakiś czas w liceum. Były to co prawda zupełnie inne czasy, niemniej pozostało mi wspomnienie koszmarne wysiłku i problemów, z którymi zupełnie nie umiałem sobie poradzić. Tym bardziej może docenić dzisiaj codzienny trud nauczyciela.

Myszę zresztą, że w tamtych dawnych czasach nauczycielowi było jednak nieco łatwiej. Zapewne mizeria finansowa była równie (może nawet bardziej) dotkliwa, nie pomagała też konieczność składania rozmaitych trybutów ideologicznych, a świadomość pomijania w programie pewnych tematów była z pewnością irytująca, zwłaszcza dla humanistów. Wszystko to było jednak rekompensowane sprawą doprawdy fundamentalną: nauczyciel miał AUTORYTET. Nie tylko w szkole, również wśród ludzi, a w każdym razie w rodzinach uczniów.

Nie przypominam sobie, na przykład, aby moi rodzice kiedykolwiek skrytykowali kogoś z nauczycieli w mojej obecności. Teraz, po latach, widzę, że z pewnością mogli mieć (i zapewne mieli) zastrzeżenia do kilku z nich. Ale nigdy, przenigdy nie wyraziliby tego przy mnie. W naszym domu nauczyciel to był ktoś absolutnie poza krytyką. Ktoś, kogo należy szanować.

To oczywiście nie znaczyło, że w szkole, wśród kolegów, nie krytykowaliśmy nauczycieli. Jak to w życiu: jednych lubiliśmy, innych mniej; jedni byli ciekawi, inni nudni. Ale zawsze był to ktoś na piedestle, ktoś, kogo można co prawda kontestować, ale tylko z pozycji szczeniaka, który wie, że ostatnie słowo należy – tak czy inaczej – do nauczyciela.

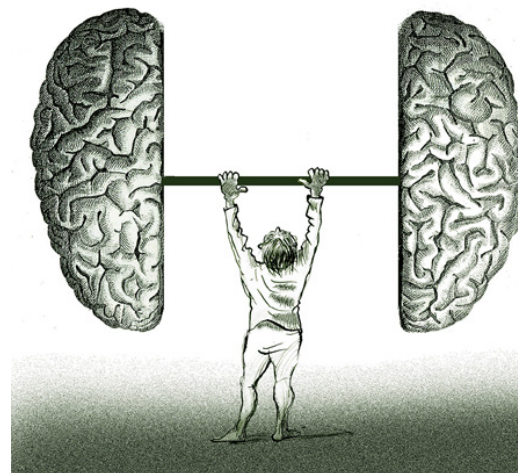
O ile się orientuję, to wszystko znikło. W dzisiejszej szkole nauczyciel jest kontestowany (może nawet należałoby użyć jakiegoś ostrzejszego słowa) na wszystkich szczeblach: przez uczniów, przez rodziców, przez media, przez władze oświatowe wreszcie. Myszę, że dzieje się (stało się?) coś bardzo niedobrego. Najwyższy czas się obudzić i zrozumieć, że w ten sposób podcinamy gałąź, na której wszyscy siedzimy.

Bo od pracy nauczyciela – bez żadnej przesady – zależy nasza przyszłość. Nie odkrywam tu Ameryki, napisano o tym tomy, w teorii sprawa jest oczywista. Niestety, praktyka jest ciągle fatalna. A przecież nauczycielom autorytet jest po prostu niezbędny dla dobrego wykonywania tego koszmarne trudnego zawodu. Tymczasem są oni nie tylko zdani na własne siły, ale nawet rzuca im się kłody pod nogi. Zmiana tej sytuacji to, oczywiście, zadanie na lata, niezwykle trudne w epoce upadku wszelkich autorytetów. Ale zacząć trzeba już dziś¹. Od czego? Od uświadomienia ludziom, jak wiele zawdzięczają swoim nauczycielom, nawet tym krytykowanym, nawet tym nie najlepszym. Mówmy o tym, piszmy, krzyczmy! Żeby ta prosta prawda dotarła do wszystkich.

Starożytna anegdota mówi, że gdy jeden z uczniów Sokratesa, Arystyp, został oskarżony przed sądem w Atenach, bronił go znany sofista. Wygłosił skuteczną mowę, która przekonała sędziów, i Arystyp został uniewinniony. Po wyroku adwokat powiedział z przekąsem: – Moja mowa cię uratowała, a co dobrego zrobił dla ciebie Sokrates? Arystyp odrzekł: – To, że wszystko, co powiedziałeś w mojej obronie, jest prawdą.

To właśnie jest istota sprawy. Będziemy tacy, jakimi uformują nas nasi nauczyciele. I taka też będzie Polska. Najwyższy czas się obudzić.

ABBA



Rys. Adam Korpak

¹ Wśród opowieści o De Mello, SJ, jest również taka: Piorun spalił wspaniały cedr, rosnący przed świątynią. Mistrz oświadczył, że trzeba natychmiast zasadzić nowy. Któryś z uczniów zauważył, że nie ma się co spieszyć, bo przecież cedr rośnie dwa tysiące lat. – Tym bardziej nie mamy ani chwili do stracenia – brzmiała odpowiedź.

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Marta Wyka, [Jerzy Wyrozumski](mailto:Jerzy.Wyrozumski@pauza.krakow.pl), Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31–016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.